

Tadeusz Stec

Węglem po papierze

Rzecz to naturalna, że gdy jakikolwiek towar trafia na rynek w dostatecznej ilości, kończy się sprzedaż spod lada, a zamiast dystrybucji zaczynają działać rynkowe prawa podaży i popytu. Gdy brakowało lodówek, sprzedawano je na talony. Obecnie, dzięki zwiększonej produkcji, handel czyni różne zabiegi by zainteresować klientów sprzedażą. W podobny sposób uległo skreśleniu w ciągu ostatnich lat wiele wyrobów z listy towarów deficytowych.

Nie dzieje się tak, niestety, z węglem, przeznaczonym na opał dla ludności. Mimo wzrostu jego produkcji, powodującej nawet pewne nawyki tego towaru, należy on nadal do artykułów reglamentowanych. Wydobycie węgla kamiennego wzrosło wprawdzie z 94,5 mln ton w 1950 roku — do około 117,5 mln ton w roku ubiegłym i resort górnictwa i energetyki — jak doniosła prasa — wykonał przed terminem swoje zadania za okres bieżącej 5-letki — niemniej sprawy zaopatrzenia w węgiel stanowią — jak dotąd — niepodważalne tabu.

W tym roku zostało ono co prawda w pewnym stopniu „przełamane”, co znalazło wyraz w dodatkowym przydziale około 200 tys. ton „czarnego towaru” dla ludności miejskiej w II i III kwartale br., lecz nie uwzględniono w zasadzie żadnych postulatów, zmierzających do uelastycznienia obrotu węglem. Tymczasem przemawia za tym wysoka podaż tego artykułu, powodowana nie tylko dodatkowymi przydziałami, lecz także pojawieniem się pewnej ilości węgla deputatowego, za który zakłady pracy i instytucje nie pobierały w tym roku ekwiwa-

lentu pieniężnego, lecz w całości wydawały go swoim pracownikom w naturze. Także po raz pierwszy, wolnorynkowa cena węgla, zwłaszcza w ośrodkach przemysłowych, kształtowała się na znacznie niższym poziomie (około 350 zł za tonę) od ceny oficjalnej (500 zł za tonę). W rezultacie — latem i jesienią — składy opałowe zawalone były węglem i czekały na odbiorców. Występowało więc z wnioskami wprowadzenia sezonowych cen węgla, zachęcających klientów do kupowania go latem, by uniknąć tworzenia się w składach dużych zapasów. Coraz powszechniejszy staje się również pogląd o zniesieniu reglamentacji węgla, będącej już dziś paradoksem.

Spójrzmy teraz na ten problem od strony górnictwa. Wydobycie węgla w kopalniach, jego transport na powierzchnię oraz sortowanie ulega ciągłej mechanizacji, eliminującej w coraz większym stopniu pracę ręczną. Na skutek tego ulega zmianie asortyment węgla na korzyść drobnego — najbardziej poszukiwanego przez ludność miast i wsi.

Dla ilustracji warto podać, że gdy w 1955 roku wydobycie grubego węgla energetycznego wynosiło 29,8 mln ton, to w roku 1964 uzyskano tego węgla 30,2 mln ton. Wzrost wyniósł więc zaledwie 1,1 procent. A więc zbyt mało w porównaniu ze wzrostem potrzeb. Wystarczy powiedzieć, że w latach 1955-63 wybudowano około milion izb w miastach, zaś w 1964 roku około 21 procent mieszkań w budownictwie społecznym oddano do użytku bez centralnego ogrzewania, a zatem lokatorów stanowią także potencjalnych odbiorców węgla grubego. Licząc się tu jeszcze tacy klienci jak kolej — nie otrzymująca także w pełni żądanych ilości wysoko jakościowego węgla — i oczywiście handel zagraniczny, który za węgiel grubo otrzymuje na rynkach zachodnich 2-krotnie wyższą cenę niż za asortymenty drobne.

Nasuwa się zatem wniosek, że przyczyną niedomogów zaopatrzeniowych i związana z tym reglamentacja nie tkwią w braku węgla w ogóle, lecz w niedostatkach określonego asortymentu, czyli węgla grubego. Jeżeli jednak w tym roku dało się skierować na rynek dodatkowe ilości tego artykułu, tłumaczyć to należy nie tylko wydajniejszą pracę kopalń, lecz także łagodnym przebiegiem dwóch ostatnich zim, dzięki czemu składy opałowe mogły odbudować zapasy, wyczerpane podczas słynnej „zimy studenta”.

Czy wszystko to potwierdza jednak konieczność utrzymania dotychczasowego, sztywnego rozdzielnictwa węgla?

Mówi Iłona Haniszowa, dyrektor Okręgowego Przedsiębiorstwa Handlu Opalem w Krakowie:

— Przesłali istnieć problem braku węgla. Jeżeli ktoś z uzasadnionych przyczyn zużywa go więcej od przysługujących norm, może otrzymać dodatkowy przydział. Kraków nie ma ponadto kłopotu z jakością węgla. Dostarcza go bowiem stale jeden producent — kopalnia „Kazimierz”, która w całości przysyła węgiel grubo. Z punktu widzenia naszego przedsiębiorstwa istnieją więc sprzyjające warunki do bardziej swobodnego obrotu tym artykułem i nadania mu bardziej handlowego charakteru. Uważam, że skoro istnieje pełne pokry-

cie potrzeb na ten artykuł, reglamentacja nie powinna wpłynąć na wzrost popytu. Mogą nastąpić jedynie „przesunięcia” w ilości odbieranego węgla pomiędzy poszczególnymi grupami klientów. Istnieją jednak obawy, że w wypadku wahań w eksporcie węgla — czego czasem nie może przewidzieć handel zagraniczny — mogłyby wystąpić okresowe braki. A z doświadczenia wiemy, że puste składy — nawet przez krótkotrwały okres — wywołują destrukcyjną psychozę. Zaczyna się wówczas run na składy, wzrasta cena wolnorynkowa węgla, a w wypadku wolnej sprzedaży — spekulacja.

Inne zasady, niż w mieście, obowiązują przy rozdziale węgla na wsi. Wysokość przydziałów dla ludności rolniczej uzależnia się od hodowli trzody chlewnej. Rolnicy za 1 kg żywności otrzymują 4 kg węgla. Reglamentację węgla wykorzystuje się tu jako bodziec do produkcji mięsa. Lecz ostatnio bodźce te zacinają coraz słabiej oddziaływać na hodowców. Dzieje się tak chociażby dlatego, że istnieją — jak się oblicza — 54 kierunki „rozchodu” węgla. Premiuje się nim rolników nie tylko za hodowlę, lecz także za kontraktację różnych upraw przemysłowych.

Dostawy węgla dla ludności województwa krakowskiego, które w tym roku wynoszą 355 tys. ton pokrywają potrzeby, z tym jednak, że nie każdy otrzymuje w całości węgiel grubo. W ogólnej masie towarowej stanowi on 62 procent, czyli reszta — to asortymenty drobniejsze w gatunku drugim i trzecim. Jeżeli mogą wystąpić chwilowe braki węgla w składach, to tylko na skutek zakłóceń w transporcie oraz trudności jakie powodują duże rozproszenie wiejskich odbiorców węgla.

Mimo tych i innych, nie pozabawionych racji obaw, nadeszła jednak pora dokonania zmian w systemie zaopatrzenia w węgiel. Przemawia za nimi przede wszystkim to, że rynek otrzymuje dostateczne ilości węgla. W tej sytuacji zaś klient nie chce występować w roli statystycznego odbiorcy węgla, dzielonego, jednakową miarką niezależnie od tego, czy zajmuje mieszkanie od północy, czy od południa, nie mówiąc już o innych niuansach, trudnych do ujęcia w najbardziej nawet precyzyjne normy. Pewne jest natomiast, że ludzie zużywają tyle węgla, ile muszą. Palenie w piecu, to przecież żadna przyjemność, zaś obecna cena węgla nie skłania nikogo do lokowania w nim pieniędzy.

Jeśli nie można zacząć od razu od swobodnego handlu węglem, co byłoby najwłaściwszym rozwiązaniem, to pora zastanowić się nad wprowadzeniem sezonowych cen węgla oraz większym ich zróżnicowaniem pomiędzy węglem najwyższej jakości, a asortymentami doń niższymi. Wiąże się z tym sprawa składowa. Obecnie są to najczęściej małe placówki, zdolne pomieścić niewielkie ilości węgla; bez powiększenia ich, trudno będzie umożliwić klientowi wybór gatunku i jakości.

Słowem, niech Król Węgiel spojrzy łaskawym okiem na swoich „poddanych” i okaże im przychylność w swobodniejszym korzystaniu ze swoich dóbr.

Adam Staniek

Odwetowa stawka na młodzież

Również zachodni Niemcy rewidują wyznaczone maksymy, że jaką będzie młodzież, taka będzie przyszłość. Pragną przeto, aby ich hasła znalazły się również w programach nauczania. W „Deutsche Ostkunde” ukazała się praca Eberharda Wevera pt. „Problem Odry i Nysy w nauce”. Sugeruje ona metodologię: jak zaszczepić młodzieży rewizjonistyczny punkt widzenia na te sprawy.

Tematyka to niełatwa. Ostatnio zachodni Niemcy opinia o zainteresowaniu obserwuje rozwój postępowania wszechświata przez Ministerstwo Oświaty i Kuratorium w Hannoverze przeciw uczniowi — redaktorowi pisma pt. „Wir Schüler”. Młody redaktor, Konrad von Kordorff, odważył się bowiem zamieścić w swym piśmie krytyczną notatkę o profesorze, który wykorzystywał lekcje dla antypolskiej i w ogóle szowinistycznej propagandy.

Hannowerskie zdarzenie świadczy, że przecież są Niemcy, którzy myślą Niemało takich, którzy wyciągnęli wnioski z historii. Toteż program, sugerowany przez Wevera, przewiduje aż pięć lekcji. Zakłada pozostawienie uczniom dużego marginesu inicjatywy z równoczesnym formowaniem ich poglądów na bazie dostarczonego materiału.

Pierwsza lekcja ma być niejako wprowadzeniem w ten kontrowersyjny i skomplikowany problem, danie możliwości uczniom wyrażenia się w spontanicznej inicjatywie.

Z dotychczasowej praktyki zachodni Niemiec szkolnictwa wynika, że uczniowie mogą pytać, jak doszło do wytyczenia granicy na Odrze i Nysie? Odkąd istnieje plan podziału Niemiec? Jak należy sobie wyobrazić powrót Niemców na wschodnie tereny? Czy Niemcy rzeczywiście pragną powrót, kiedy im się tak dobrze wiedzie? W naszym problemie padnie z pewnością pojęcie „strony olczaste”. Ktoś z uczniów może stwierdzić: „Dla Polaków urodzonych na Śląsku czy Pomorzu, tereny te stały się prawdziwymi stronami olczastymi. Co by się jednak stało z Polakami, gdyby na te tereny pragnęli powrócić Niemcy? Przecież wypędzenie przy użyciu siły jest zabronione. Co się stanie, jeśli miliony wypędzonych Niemców już wymarą?”

I tu metodologowi od lekcji rewizjonizmu wydaje się, że znalazł się w centrum zagadnienia. Sugeruje więc pytanie: czy wraz z wymarciem ludzi wymiera ich prawo? Zastanawiać się uczniowie mogą się zastanawiać: „Dlaczego domagamy się tak natarczywie swych praw? Ostatecznie przecież to my ponosimy winę za wybuch wojny, skąd więc możemy powoływać się na prawo międzynarodowe?” Kiedy nauczyciel dostarczy, że uczniowie wtargnęli w swych rozważaniach w głąb tego skomplikowanego problemu — przychodzi pora, aby lekcję (następną godzinę) „sprowadzić na mocne podłoże”. Zdaniem metodologa, najwyższy czas, aby przedstawić polskie i niemieckie argumenty. Przedstawia się więc, że Polacy uważają tereny Odry i Nysy za prapolskie. Wśród argumentów pojawia się element rekompensaty dla Polski za konsekwencje wojny, wreszcie wspomina się o karze i pokucie Niemców za bezprawia wyrządzone Polakom podczas wojny. Te argumenty polskie

są naturalnie odpowiednio spreparowane, aby łatwiej się było z nimi uporać. Obok „argumentów” stosuje się metodę przemilczenia. Przemilcza się więc sytuację ludnościową Ziemi Zachodnich zaraz po wojnie czy inwestycje polskie na tych ziemiach.

Argumenty niemieckie są również wygodnie spreparowane. Oto przez wieki Ziemia Zachodnia nie ulegała podbojom, ale akcja dobrowolnego osadnictwa. Co więcej: książka polscy zapraszali Niemców na te ziemie (egzemplum zakon krzyżacki). Autor metodologicznego artykułu proponuje, aby możliwie bogato operować materiałami poglądowymi, odpowiednio przygotowanymi mapami, planszami, wykresami. Zdaniem Wevera należy na przykład przedstawić uczniom wykaz miast założonych na prawie niemieckim. Znajdą się tu naturalnie: Zgorzelec, Szczecin, Królewiec, Malbork, Chełmno, Gniezno, Rądko, Kraków, Gdańsk, Białystok, Poznań. Dla uczniów będzie niespodzianką, że takie miasta polskie, jak Kraków czy Warszawa, zostały założone na prawie magdeburskim. Nie natomiast nie wspomni się na lekcji o istocie tego prawa. Zdaniem Wevera cennym spostrzeżeniem, działającym na wyobraźnię, będzie, że stolica Polski z Gniezna, poprzez Kraków do Warszawy przemieszczała się poprzez wieki na wschód.

Metodolog zdaje sobie sprawę, że nie można wyeliminować kwestii ekonomicznej z ogólnego kompleksu problematyki Odry i Nysy. („Trudno bowiem powiązać obecne myślenie kategoriami dobrobytu i wspomnienia o stratach gospodarczych”). Uczniom trzeba więc wyjaśnić, że jakkolwiek Niemcy nie stały się niezdolne do życia w następstwie utraty terenów wschodnich, to jednak te tereny dawały 22 proc. ogólnej niemieckiej produkcji rolnej, a w zagłębiach węglowych Wałbrzycha i Górnego Śląska wydobywano 20 proc. niemieckiego węgla kamiennego. O ileż większy mógłby być współczesny niemiecki dobrobyt, gdyby — można było wejść na Ziemię Zachodnią, a więc gdyby — można było osłabić gospodarkę Polskę. Wever daje też przykład, jak preparować historię Polski. Jego zdaniem warto podkreślać, że Prusy wcale nie były głównym zaborcą Polski, a ponadto, że rozbiory Polski były czymś naturalnym, zgodnym z prawem. W tym wypadku Wever powtarza tylko tezy za swymi imperialistycznymi poprzednikami, którzy w nauce historii zawsze pragnęli przedstawić państwo polskie jako efemerydę.

Pedagog i metodolog Eberhard Wever zdaje sobie sprawę, że z wojenną winą Niemiec nie taka prosta sprawa. Ale przecież jest rada i na gorzkie reminiscencje płynące z najnowszej przeszłości. Uważa się wprost zobowiązanym do przypomnienia również zbrodni — popełnianych na Niemcach przez Polaków: „Należy z całkowitą wyrazistością i powagą wymienić i przytoczyć przerażające warunki i zjawiska towarzyszące masowemu wypędzeniu: gwałty, mord, plądrowanie”. Ani mu się śni przedstawić prawdy o hitlerowskiej ewakuacji terenów wschodnich i o polskiej repatriacji ludności niemieckiej, której przebieg spotkał się przecież z uznaniem światowej opinii.

Wever twierdzi uparcie, że na lekcjach nauczyciel musi podważyć „argument Polaków o winach Niemców z okresu wojny światowej”. Z nonszalacją ob staje, że „jeśli ktoś może udzielić odpowiedzi na pytanie: kto popełnił więcej zbrodni — to chyba nie my”.

Uporczywie też sugeruje agitację na granicach Niemiec z 1937 r. Słuszny temu cała ekwilibrystyka pragmatyczna w rodzaju, że „z przyczyn etycznych Niemcy nie mogą zgodzić się z moralnym stanowiskiem żądania ukarania za bezprawia popełnione w Polsce przez III Rzeszę”; co więcej, że sprawa Odry i Nysy, tak jak ją przedstawia strona polska, sprzeciwia się etyce... chrześcijańskiej. W ogóle autor wskazuje metodologicznych tam, gdzie mu tylko wygodnie, gotów jest powołać się na wszystkich świętych. Rozważania na temat etycznego aspektu zagadnienia kończy tak: „Zbrodnie popełnione w imieniu Niemiec (zwróćmy uwagę na sformułowanie) bynajmniej nie uzasadniają i nie usprawiedliwiają rabunku (znów sformułowanie) terytorium niemieckiego przez Polaków”.

Nader więc mocny jest końcowy akord wskazówek metodologicznych, które mają zagrać nie tylko na uczuciach młodego człowieka, ale dać mu jak najwięcej rewizjonistycznych argumentów.

Przeniesienie agitacji odwetowej z zjazdów ziemskich, z lamów prasy, do sal szkolnych, jest znamienym etapem kształtowania opinii publicznej w Niemczech zachodnich.

NOZYCAMI przez PRASĘ

SKALA POPULARNOŚCI

ŁÓDŹ. Autor poczytnych książek, Zenon Kosidowski — jak pisał Głos Robotniczy — w ciągu trzech godzin złożył autografy i to przeważnie pełne na 750 swoich książkach, ustanawiając rekord w skali krajowej.

JESZCZE CZEGO

WARSZAWA. Z Trybuny Mazowieckiej: „Uczestnicy ostatniego plenum WKKFiT byli zdumieni. Postulaty jednego z przewodniczących PKKKFiT były wprost zaskakujące. Otóż wysunął on żądania, aby w związku z wybudowaniem przez WKKFiT pawilonu — komitet umieścił w swoim budżecie na rok 1966 odpowiednie pozycje: na sprzątaczkę i palaczka.”

NASTĘPNY DO GOLENIA...

LUBLIN. Jak pisał w tytule Express Wieczorny — zlikwidowano tu 19 spółdzielni w wyniku czego nastąpiła poprawa usług.

(jaw)

Tadeusz Kudliński

Tydzień teatralny

po drodze piekło (które ich nie przestrasza) i niebo (które nie zachwyca), by wylądować wreszcie w ziemi obiecanej kolektywu proletariackiego, postępowo zmechanizowanego i zelektryfikowanego. Jak widać, symbole tej sztuki są przejrzyste i komunikatywne w swej wymowie agitacyjnej. W tytule zamknął Majakowski to, co widział w Rewolucji wielkiej (misterium), ale także i to, co było w niej codzienne i prostackie (buffo).

Sztuka Majakowskiego znalazła w Meyerholdzie równie rewolucyjnego inscenizatora, zrywającego z melancholią Czechowa, z przeżywaniem Stanisławskiego, z iluzyjną sceną pudełkową i jej estetyzmem. Meyerhold przeobrażał scenę w konstruktywne urządzenia dla gry aktorskiej, zrationalizowanej, a o partę na odwiecznych chwytach teatru jarmarcznego, plebejskiego.

Jak wiadomo, ta rewolucja teatralna, szerząca się zrazu żywiołowo nie znalazła uznania oficjalnego. Niemniej stała się klasyką rewolucyjną, której wpływ na świa-

towy teatr współczesny stał się oczywisty. Nic też dziwnego, że Teatr Ludowy obrał Misterium buffo na jubileuszową premierę swego dziesięciolecia. J. Szajna, skupiający w swym ręku reżyserię i scenografię, uzyskał jednolitą przedstawienia, pozostając wiernym raczej Meyerholdowi, niż Majakowskiemu. Bo to Meyerhold głosił niezawisłość teatru od literatury i psychologizmu, przewagę obrazu scenicznego nad słowem. Taka też propozycja panuje w przedstawieniu nowohuckim, gdzie tekst i jego wygłoszenie nie są sprawą pierwszą.

Można wskazać tylko wyjątki, jak epizod J. Jachyńskiego, którego precyzja i energia mówienia nigdy nie zawodzi. Pozostały zespół wyzywał się w jaskrawości karykatury i żywiołowości gry, co należy do konwencji teatru plebejskiego. Znakomitą siłą wyrazu wykazała też opłata przedstawienia, oraz inwencja reżyserska przenikająca w wykonanie aktorów, szczególnie i pomyślnie zindywidualizowane. Tak więc T. Kwinta (Stary człowiek) rozwijał żywą komikę charakterystyczną, kiedy J. Güntner parodiował rzewny i hołesiwy styl ciępiactwa (Zwykły człowiek). J. Harasiewicz (Ku-

piec) i Z. Klucznik (Pop) śmieszyli prze zabawną komiką farsową, podczas gdy M. Lekezycki i Z. Bednarczyk obrali ku kielkową karykaturę dla postaci hitlerowca i faszysty. Irena Jun histeryzowała z zalotnym wdziękiem, a B. Smola szarżował zabawnie jako dobroduszny Matuzalem. Podobnie — reszta zespołu, bardzo wyrównane, co dało w wyniku przedstawienie zgodne ze stylem „października”, przy tym żywe i atakujące widowisko, która przyciąga je ze znacznym aplauzem.

Z okazji jubileuszu owacjonowano zasłużoną trójkę animatorów tej sceny: K. Skuszanek, J. Krasowskiego, J. Szajnę. Ich zasługą są pamiętne przedstawienia repertuaru wielkiego, jak monumentalna Orestesja, jak zwieżie i kłarowne Dzidy, jak żywiołowy Sen nocy letniej. Ich też zasługą realizacja przełomowej dramaturgii Broszkiewicz, Drozdowskiego. Równie pamiętne stały się przebojowe premiery postępowej dramaturgii światowej, jak Stan obłędna, Romulus Wielki, Jacobowski, czy Smok — lub znakomite adaptacje prozy Steinbecka, Bandrowskiego, Ehrenburga. Także za nowej dyrekcji J. Szajny oglądaliśmy interesujące spektakle Don Kichota, Króla Agisa, no — i obecnie Misterium buffo. A więc — gratulacje dla zespołu i kierownictwa teatru oraz życzenia dalszych sukcesów.